GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

Była to rola dobra dla gubernatora-biurokraty, ale niegodna członka cesarskiego domu. Być może, że arcyksiążę Ferdynand, wyjeżdżając do Wiednia, nie zdawał sobie dobrze sprawy z całej trudności swojego położenia, i dopiero w Wiedniu, jak bar. Sala mówi, niechętnie, pod łagodnym naciskiem sfer dworskich dał się nakłonić do rezygnacji. Że tam wywierano taki nacisk, to także tylko w ten sposób wytłómaczyć można, iż wreszcie i tam już odsłoniła się cała straszna sytuacja w Galicji, cała krwawa konsekwencja dotychczasowego systemu administracyjnego. W grę wchodziły najwyższe interesa, bo powaga władzy i rządu, a do ich ochrony pozostawała w tej chwili już tylko polityka półśrodków, niegodna firmy arcyksięcia.

Do roli tej wybrano gubernatora morawskiego, Rudolfa hr. Stadiona. Wysłano go do Galicji w lecie 1846 roku w charakterze nadzwyczajnego komisarza rządowego z wyjątkowo rozszerzonym zakresem działania i z upoważnieniem do wszelkich zarządzeń, za potrzebne uznanych. Hr. Rudolf Stadion pojął swoją misję w ten sposób, jak to powyżej wskazaliśmy: zaczął balansować, zbliżając się do wybitniejszych osobistości ze świata obywatelskiego, od których przyjmował, u których niemal zamawiał sobie memorjały o stanie Galicji i potrzebnych w danej chwili zarządzeniach, a przytem, układając plany regulacji pańszczyzny w ten sposób, aby poddani, niecierpliwie oczekujący nagrody za swoje krwawe dzieło, widzieli w nim swojego wybawcę z dotychczasowej niedoli. Misja ta skończyła się na pozór pomyślnie, bo zasłoniła chwilowo przed światem rozpaczliwą dla rządu sytuację, ale w następstwach okazała się fatalną. Hr. Rudolf Stadion bowiem przeprowadził regulację pańszczyźnianą bez bliższego poznania stosunków kraju, biorąc za podstawę odmienne stosunki w Morawii, wskutek czego powstała taka sytuacja, że wielu dziedziców uważać to mogło za dobrodziejstwo, żeby im wolno było zrzec się całkowicie pańszczyzny, a przytem uzyskać także uwolnienie od ciężarów, z nią połączonych. Z tym fatalnym rezultatem musiano się liczyć w Wiedniu, nietyle z dbałości o interesa szlachty galicyjskiej, ile z uwagi na wrażliwość szlachty innych prowincji i jej obawę, aby w Galicji nie powstał precedens, dla niej niepomyślny.

Dopiero w roku 1847 zaczęła się dla Galicji uśmiechać lepsza dola. Z widowni cicho znikły figury, które, jak prezydent, bar. Krieg, starosta Breinl i t. p., samem pozostaniem na swoich stanowiskach paraliżowały wszelką politykę, skierowaną ku kojeniu świeżych ran i zacieraniu strasznej przeszłości w pamięci kraju, a gubernatorem Galicji zamianowany został brat Rudolfa hr. Stadiona, Franciszek, który w Galicji przed laty rozpoczynał nowicjat urzędniczy, szybko przebiegł potem wszystkie stopnie karjery i w chwili powołania na następcę arcyksięcia Ferdynanda był gubernatorem w Tryeście.

Była to prawdziwa perła w ówczesnym świecie urzędniczym Austrji, był to mąż stanu wyższej miary w swojej inteligencji politycznej i w swoich aspiracjach. Gdyby nie wichrowaty rok 1848, który wprowadził hr. Franciszka Stadiona w kolizję ze społeczeństwem polskiem, w kolizję, z któ-

rej, z winy obu stron, wywiązał się w końcu antagonizm, nowy gubernator byłby o wiele lat prędzej zainaugurował ten proces politycznego zbliżenia się, jaki między Austrją a Galicją rozpoczął się dopiero z brzaskiem ery konstytucyjnej.

Samem powołaniem hr. Franciszka Stadiona w roku 1847 na gubernatora Galicji sfery rządowe w Wiedniu przyznały się niejako do tego, że rok 1846, jako rezultat zgubnego systemu politycznego i niegodziwej, do granicy zbrodni doprowadzonej, metody w jego aplikacji przez biurokratów starego autoramentu, wymaga zwrotu w całem postępowaniu. Było to więc niezawodnie *desaveu* polityczne dla tych biurokratów, gdyż Franciszek hr. Stadion nie byłby się podjął swojej misji galicyjskiej, gdyby nie miał był podstawy do mniemania, że chodzi o spełnienie dzieła szlachetnie pojmowanej pacyfikacji w kraju, skazanym przez tragikę dziejową na to, aby w tych czasach stał się zapalnem ogniskiem dokoła prowadzonych tajnych knowań rewolucyjnych. W podróży z Tryestu do Lwowa nowy gubernator galicyjski zatrzymał się w Wiedniu, aby poinformować się o stosunkach i ułożyć sobie plan działania. Z relacji galicyjskich bar. Kriega mógł powziąć przekonanie, że w Galicji znajdzie sytuację dla misji swojej bardzo dogodną, że, mianowicie, zastanie szlachtę, świadomą swojej winy i przygnębioną, więc gotową do szczerego poparcia pacyfikacyjnych dążności nowego gubernatora, a lud wiejski, po krwawem odparciu wrzekomo groźnych zamachów rewolucyjnych na państwo, już zupełnie uspokojony, wyprowadzony zupełnie ze stanu „obrony koniecznej" i przejęty podniosłym duchem bezinteresownego patrjotyzmu austrjackiego.

Przykry zawód spotkał Franciszka hr. Stadiona na samym wstępie do Galicji, gdy, nieuprzedzony o tem w Wiedniu, więc bezwiednie, zdążył pod Lwów w chwili, gdy ustawiano tam dwie szubienice, nie dla morderców i podpalaczy, z których żaden jeszcze nie spotkał się z ostrzem prawa karnego, lecz dla dwóch więźniów stanu, Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego. Aby nie wjeżdżać do Lwowa w tak fatalną chwilę, nowy gubernator zawrócił z drogi i zaimprowizował najpierw objazd niektórych cyrkułów!

Tego przykrego zawodu wcale nie ukrywał Franciszek hr. Stadion przed Wiedniem, lecz, owszem, dał mu wyraz dobitny, gdy spostrzegł, że Wiedniowi ma do zarzucenia coś gorszego jeszcze, niż brak informacji co do tych szubienic lwowskich, że, mianowicie, w Galicji zastał stan rzeczy odmienny od tego obrazu, jaki sobie w Wiedniu wyrobił z relacji lwowskich, oraz z ustnej informacji tych, którzy na relacjach lwowskich zupełnie polegali. Takim dobitnym wyrazem zawodu jest relacja Franciszka Stadiona z 28 grudnia 1847 roku do ówczesnego ministra policji, hr. Sedlnitzkyego, w sprawie wyjednania amnestji od skutków prawnych kondemnaty, względnie śledztwa o zdradę stanu z dawnych lat dla siedmnastu skompromitowanych osobistości, pomiędzy któremi znajdowali się także: późniejszy austrjacki minister dla Galicji, hr. Florjan Ziemiałkowski, i prezydent izby deputowanych Rady państwa, dr. Franciszek Smolka, obaj u schyłku życia tajni radcy, obaj zaszczycani szczególnemi względami i łaskawością cesarza Franciszka Józefa. Z tym wnioskiem amnestji wystąpił hr. Stadion wbrew opinii prezydenta lwowskiego sądu apelacyjnego, który zalecał odroczenie wniosku amnestyjnego aż do ukończenia procesów o zdradę stanu z r. 1846.

Wydobywszy relację tę Franciszka hr. Stadiona, dzięki łaskawemu dla historji Galicji przypadkowi, z otchłani archiwalnej, przytaczamy ją w całości jako materjał pierwszorzędnej wagi do charakterystyki stosunków ówczesnej doby. Jeżeli się zważy, że relację tę pisał gubernator austrjacki, Niemiec, przejęty gorącym patrjotyzmem austrjackim, a tem samem i oburzeniem z powodu ostatnich zamachów powstańczych, urzędnik z zawodu, co prawda niepospolity inteligencją i wyższemi pojęciami o swojej misji, ale zawsze urzędnik, poniekąd uprzedzony na korzyść biurokracji, z którą wiązał go do pewnego stopnia *esprit du corps*, jeżeli się to wszystko zważy, to owa relacja uważana być może za autentyczne potwierdzenie słuszności wszystkich poprzednich uwag naszych, nietylko o gospodarce biurokratycznej w Galicji w roku 1846, lecz także o całym systemie rządzenia w Galicji przed tym nieszczęsnym rokiem.

„Jeżeliby we wniosku niniejszym — pisze gubernator Franciszek hr. Stadion — chodziło tylko o zwyczajny akt łaski, w którym polityka wprawdzie w grę wchodzi, ale dopiero w drugim rzędzie, jeżeliby chodziło jedynie o wcześniejsze, lub cokolwiek późniejsze ułaskawienie poszczególnych indywiduów, to musiałbym się przyłączyć do opinii prezydenta sądu apelacyjnego i czekać na stosowną porę do zaproponowania rozleglejszego aktu łaski monarszej, jak to prezydent ten nadmienił. Jednakże wyższe względy polityczne skłaniają mię do postawienia tego wniosku. W jego rychłem uwzględnieniu widzę nie odosobniony akt łaski, lecz konieczną manifestację postępowania, które, według mojej obserwacji stosunków galicyjskich i według mojego najgłębszego przekonania, przestrzegane być musi dla uspokojenia kraju i doprowadzenia go do lepszej doli.

„Kraj znajduje się w stanie niezadowolenia i wzburzenia. Trzeba wszystko to widzieć własnemi oczyma, żeby sobie o tem wyrobić zupełnie jasne wyobrażenie. Niezadowolenie ogarnęło wszystkie klasy ludności. Zewsząd zarzucają władzom, że kraj, który mógłby być jedną z najbardziej kwitnących prowincji monarchii, dla braku dobrej administracji nie może równać się nawet z najbiedniejszemi, przez naturę najwię-

cej po macoszemu uposażonemi krajami; że dalej nic nie uczyniono ani dla duchowego i moralnego wychowania, ani dla materjalnego podźwignięcia ludu! Że taki jest stan rzeczy, tego, niestety, zaprzeczyć nie mogę.

C. d. n.)

MAROKKO.

Z KRAJU DALEKIEGO ZACHODU.

(EL MOGHRIB-EL-AKSA).

Wybuchłe w ostatnich czasach poważne rozruchy w Marokko, zdają się grozić nawet pewnemi powikłaniami natury dyplomatycznej pomiędzy Angliją, Francją, i Hiszpanją, trzema mocarstwami, najbardziej zainteresowanemi w utrzymaniu *status quo* na północno-zachodniem wybrzeżu Afryki. Każde z tych państw posiada w Marokko poważne interesy handlowe i polityczne, a że zdaje się więcej niż prawdopodobnem, że panujący sułtan Abdel-Azis nie będzie w stanie dać sobie rady z oblegającemi stolicę wojskami powstańczemi, któremi dowodzi pretendent Bu-Hamara (ojciec oślicy), nastręcza się sama przez się konieczność interwencji państw obcych, które, jak już doniósł telegraf, mają zamiar powierzyć Hiszpanji uspokojenie kraju. Wyprawa taka pociągnie za sobą dość znaczne koszta, a że skarb sułtański jest zwykle pusty, przeto Anglja, Francja i Hiszpanja będą musiały zażądać ustąpienia im pewnych terytorjów na wybrzeżu morza Śródziemnego lub oceanu Atlantyckiego tytułem kompensaty. To wszystko czyni ze sprawy marokańskiej aktualną kwestję polityczną pierwszorzędnej wagi.

Rywalizacja mocarstw.

Najbardziej zainteresowaną w tej sprawie jest Francja, której dążeniem jest utworzenie na północnem wybrzeżu Afryki długiego łańcucha posiadłości francuzkich od brzegów Azji mniejszej aż do wybrzeży oceanu Atlantyckiego. Zbudowanie projektowanej kolei z Oranu do El-Goleah na Ain-Sefra zapewni Francji posiadanie Tuatu, Tidikeltu i Tafiletu, które stanowią klucz do posiadania Marokka od strony zachodu, podobnież jak ziemie Sus i Draa stanowią taki sam klucz od południa.

Jedynym europejczykiem, który w przebraniu arabskiem przejechał wszerz i wzdłuż całą, nieznaną dotychczas prowincję Tafiletu, jest mr. W. Harris, urzędowy korespondent „Timesu“ w Tangierze i nieurzędowy agent rządu angielskiego na całe Marokko. Poznano go jednak w drodze, i ocalenie swoje zawdzięcza mr. Harris niezwykłej przytomności umysłu. Gdy bowiem jeden z fanatyków zawołał: „dajcie mi kamień, abym rozbił łeb temu psu niewiernemu“, Harris sam podniósł kamień z ziemi i dał mu go, mówiąc: „weź, bracie“. Fanatyk padł na ziemię przed nim i poprzysiągł mu dozgonną przyjaźń na siódme niebo i brodę proroka. Fakt ten opowiadał mi sam Harris, gdym go w jesieni 1900 r. odwiedził w towarzystwie sekretarza poselstwa austrjackiego, hr. A. Stadnickiego, w jego uroczej willi w okolicach Tangieru, zwanym „białym domem“ *(dar-el-baida)*.

Zajęcie Tidikeltu i łańcucha oaz Tuatu pozwoli Francji przystąpić do stworzenia bezpośredniej komunikacji pomiędzy portami Algierji i posiadłościami francuzkiemi w basenie Senegalu przez przedłużenie tej linji do jeziora Czad i miasta Timbuktu. Jednocześnie inżynier francuzki Berlier wystąpił z projektem budowy kolei żelaznej z Tangieru na Alkazar, Fez, Tetuan i Melillę aż do połączenia ją z siecią kolei algieryjskich (Użda i Lalla-Magniah).

Z chwilą wykonania tego planu, całe północne Marokko stanęłoby otworem dla wojsk francuzkich, które w przeciągu kilku tygodni mogłyby zająć stolicę kraju Fez i święte miasto Mekinez. Z drugiej strony niewielka kolumna ekspedycyjna, wysadzona w Mazaganie lub Mogadorze, mogłaby w przeciągu dni 10 dojść do Marakesz, głównej rezydencji dzisiejszego sułtana.

Anglja posiada niewątpliwie w północno-zachodniej części Marokka bardzo poważne interesy handlowe, natomiast interesy polityczne tego państwa streszczają się wyłącznie w dążeniu do zajęcia Tangieru, który, leżąc prawie na wprost Gibraltaru, dzieli z nim panowanie nad wejściem do morza Śródziemnego. Anglja przeto nigdy nie dopuści obcego mocarstwa do usadowienia się w Tangierze; owszem, w razie potrzeby nie zawaha się sama zająć ten ważny dla niej punkt strategiczny. Dziesięć minut ostrzeliwania Tangieru z dzisiejszych dalekonośnych dział okrętowych, zamieni starożytne fortyfikacje tego miasta w stos zwalisk, a bataljon piechoty morskiej, wysadzony od strony wielkiego Soko zdoła wziąć szturmem miasto w przeciągu pół godziny. Broniące Tangieru działa pamiętają jeszcze zbombardowanie miasta przez flotę francuzką pod dowództwem ks. de Joinville w przededniu bitwy pod Isly (1844 r.), a że oliwę, przeznaczoną do ich czyszczenia, wypijają chciwi tego specjału artylerzyści maurytańscy, przeto armaty pokrywa gruba warstwa kurzu i rdzy brunatnej.

Należy dodać, że Tangier w połowie XVII. wieku należał do Anglji, jako wiano Katarzyny, infantki portugalskiej, zaślubionej królowi Karolowi II, ale po upadku Stuartów parlament odmówił kredytu na prowadzenie wojny z sułtanem Mulej-Izmaelem Wielkim, tym maurytańskim Ludwikiem XIV., i flota angielska w 1688 r. opuściła Tangier, wysadziwszy w powietrze fortyfikacje miejskie, których szczątki dotychczas zalegają zatokę.

Hiszpanja poprzestałaby dziś na ogłoszeniu

neutralności Tangieru i włączenia Tetuanu i El-Arisz do sfery wyłącznych interesów hiszpańskich, ale w przyszłości przyświeca jej marzenie wzniosłej misji historycznej, podbicie całej Maurytanji.

Śmiało też można powiedzieć, że dotychczasowa swoją niezależność polityczna zawdzięcza Marokko wzajemnej rywalizacji Anglji, Hiszpanji i Francji.

Ludność, niewolnictwo, handel.

Ludność, zamieszkująca kraj dalekiego Zachodu, jest bezwarunkowo najdziwaczniejszą mieszaniną etnologiczną, jaka się kiedykolwiek i gdziekolwiek daje spotkać. Fenicjanie, kartagińczycy, rzymianie, wizygoci, wandale, wreszcie arabowie — wszystkie te narody, przeciągając przez Afrykę północną, odcisnęły swe piętno na z Kanaanu przez żydów za panowania króla Dżaluta (Goljata), którego panowanie przypada mniej więcej na czasy króla Dawida.

Wśród berberów nie brak blondynów o niebieskich oczach, co należy przypisać infiltracji krwi germańskiej przez wandalów i wizygotów. Żyją w monogamji, a chociaż wyznają islam, nie poddają się obrzezaniu, jedzą świninę i piją wino. Przed najazdem arabów musiało być wśród nich silnie rozwinięte chrześcijaństwo, skoro dotychczas ślady dawnej wiary pozostały w częstych wezwaniach do *leilah-Mariah*, t. j. Najświętszej Panny Marji. Kobiety berberyjskie nie noszą na twarzy zasłony, natomiast pokrywają głowę olbrzymim kapeluszem, z pod którego twarzy trudno dojrzeć, a na podbródku nacinają sobie nożem trzy szramy, zacierane następnie prochem strzelniczym.



Z nad granicy rosyjskiej.

zamieszkałych tu od czasów niepamiętnych autochtonach, a obfita infuzja krwi murzyńskiej przyczyniła się też do zmiany pierwotnego typu. Pomimo takiego pokrzyżowania, łatwo odrazu odróżnić berbera od maura, beduina i kabyla, nie mówiąc już o żydach, wychodźcach z Hiszpanji, którzy zachowali swój czysty typ pierwotny, gdyż dla ogólnej pogardy, jaka na Wschodzie otacza żydów, małżeństwa mieszane są wśród nich bardzo rzadkie.

O pierwotnem pochodzeniu berberów trudno powiedzieć coś pewnego. Jedni twierdzą, że należą oni do rasy kaukazkiej i przyszli do Marokko na jakie 1,500 lat przed Chrystusem; inni przypisują im pokrewieństwo z libijczykami, a nawet z grekami. Według tradycji przechowanej wśród samych berberów, mają oni pochodzić od dawnych chanaańczyków, wypartych

W miastach mieszkają maurowie, potomkowie wygnańców z Hiszpanji, a wspomnienia dawnej świetnej przeszłości żyją wśród nich do tego stopnia, że mieszkańcy Tetuanu zachowują dotychczas klucze od dawnych domów w Sewilli i Grenadzie, w nadziei rychłego do nich powrotu. Po za obrębem miast mieszkają kabyle i beduini, pierwsi w otoczonych żywopłotem z kaktusów wioskach, przylepionych do skał, jak gniazda jaskółcze, drudzy pod namiotami, rozpiętemi w pustyni, jak dawni patrjarchowie Starego Testamentu, do których przychodzili aniołowie, zwiastując im wolę Bożą. Arystokratyzm rasy arabskiej znalazł swój wyraz w patrjarchalnym ustroju ich gminy, którą rządzi z Bożej łaski najstarszy w rodzie *(mokhadem el homa)*, podczas gdy wioski berberyjskie stanowią niejako małe rzeczypospolite, na których

czele stoi rada z wyboru całej ludności *(dżimaa).*

W Marokko dotychczas jeszcze istnieje niewolnictwo — i dziś, za wyjątkiem Tangieru we wszystkich miastach marokańskich, głównie zaś w Mogadorze, Fez i Marakesz odbywa się otwarcie sprzedaż niewolników, rekrutujących się głównie z murzynów sudańskich. Właściciel żywego towaru wkłada przeznaczonemu na sprzedaż niewolnikowi łańcuch na szyję i przywiązuje go do haka, wbitego w ścianę domu. Po dobiciu targu, dawny właściciel, przed wręczeniem nowonabywcy niewolnika, nacina mu na znak dokonanej tranzakcji głęboką bruzdę na policzku, tak że ilość tych bruzd na twarzy niewolnika świadczy o tem, ile razy przechodził z rąk do rąk.

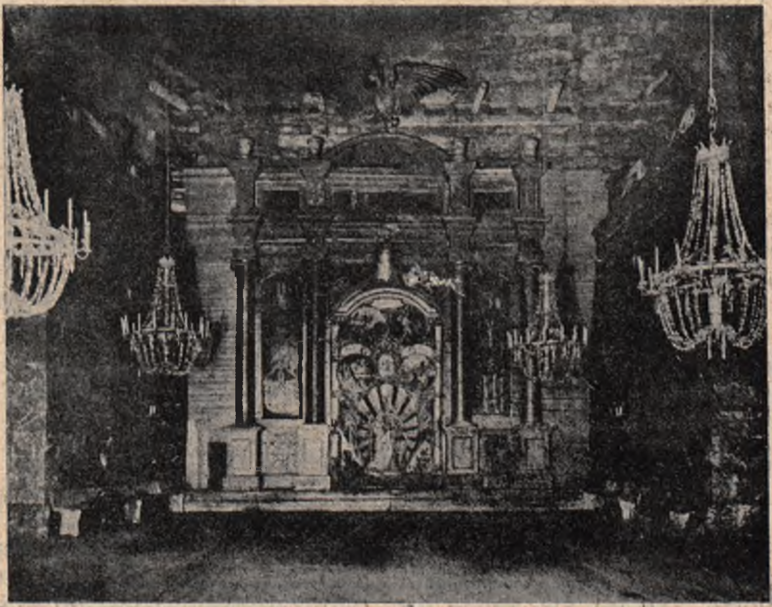
W myśl nauki Koranu, syn wolnego i niewolnicy jest wolnym. Zasada ta, nieznana dawnemu prawodawstwu europejskiemu z czasów pańszczyźnianych, prowadzi do powolnej degeneracji rasy arabskiej, dzięki ciągłej infiltracji krwi murzyńskiej, od czego nie jest wolną nawet panująca dynastja.

Podczas pobytu mojego w Marokko miałem sposobność poznać dwóch kupców miejscowych, hiszpanów, braci Jose i Manuela Ratto, którzy uskarżali się na niesłychanie uciążliwy system miar i wag marokańskich na szykany celne.

Główną przeszkodą, tamującą prawidłowy rozwój stosunków handlowych z Marokkiem, jest zakaz wywozu pszenicy, jęczmienia, masła, koni i mułów. Należy też podnieść brak określonego systemu monetarnego: jednostkę monetarną stanowi pięciofrankówka hiszpańska, a kurs pezetów hiszpańskich podlega, jak wiadomo, ciągłej fluktuacji. Wewnątrz kraju tranzakcje odbywają się na srebro, wierzycielom zaś europejskim kupcy miejscowi muszą płacić złotem, od którego *agio* waha się pomiędzy 27—32 od sta. Zaznaczyć też należy brak dogodnych portów i zły stan dróg, a właściwie ich brak zupełny; dlatego też karawany podczas pory deszczowej nie są w stanie podtrzymać komunikacji nawet pomiędzy stolicami.

Na komorze celnej jednostka wagi jest kwintab, równający się angielskiemu centnarowi, ale podzielony na 100 funtów, zamiast na 112, natomiast kwintal, używany powszechnie w handlu, zawiera 119 funtów. Na komorze dolar (5 fr.) dzieli się na 40 nieistniejących w obiegu uncyj srebrnych, gdy rzeczywiście równa się on 125 bronzowym *oki,* w dodatku zaś cło pobiera się w stosunku 32 i pół uncyj srebrnych za dolar.

(C.) d. n.)



Sala balowa Łętów.

Sala balowa Łętów w kopalni wielickiej.

Sala balowa Łętów urządzoną została w kopalni wielickiej w roku 1800 w komorze wykutej w soli w roku 1760 a to na życzenie generała rosyjskiego Suwarowa, ciągnącego na czele wojsk przeciw Napoleonowi I.

Przy głównych drzwiach wchodowych do tejże sali znajdują się wyrzeźbione z soli posągi Neptuna i Wulkana, a nad takowemi galerja dla muzyki, która to galerja ciągnie się wzdłuż ścian sali.

Ściany przeważnie wyprawione są drzewem. Naprzeciw drzwi wchodowych głównych, znajduje się wielki transparent, przedstawiający Austrję z napisem: „Nauka i praca, kraje wzbogaca".

Sala oświetlaną jest przez sześć kandelabrów z soli kryształowej.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Pozostaje mi już tylko zanotować jeden fakt z owego dnia, a mianowicie, moją rozmowę z Barrymorem. Dał mi do ręki nowy atut. Myślę go użyć.

Mortimer pozostał na obiedzie, potem obaj z baronem grali w *écarté*. Kamerdyner przyniósł mi kawę do bibljoteki; skorzystałem z tego, aby mu zadać parę pytań.

— No i cóż, czy Seldon opuścił już te strony? — rzekłem — czy jeszcze grasuje?

— Spodziewam się, że już go tu niema; nie dawał znaku życia od dnia, gdy po raz ostatni zaniosłem mu żywność.

— Czy widziałeś go wówczas?

— Nie, panie, ale nie było już prowiantów, gdym przyszedł po raz drugi.

— A więc Seldon je zabrał?

— Takby można przypuszczać; chyba, że je wziął tamten...

Spojrzałem na kamerdynera ze zdziwieniem.

— Zatem wiesz, że drugi człowiek kryje się na bagnie?

— Tak, panie, wiem.

— Czyś go widział?

— Nie.

— Skąd wiesz o nim?

— Mówił mi Seldon przed tygodniem. Tamten ukrywa się także, ale o ile mogę zmiarkować, nie jest więźniem. To mi się wcale nie podoba... — dodał tajemniczo.

— Słuchaj, Barrymore — rzekłem. — Przybyłem tu w interesie twojego pana. Powiedz mi otwarcie: co ci się nie podoba?

Wahał się, jak gdyby żałował swego odezwania, lub nie mógł znaleźć słów do wyrażenia myśli.

— Jakieś niebezpieczeństwo grozi sir Henrykowi... — rzekł wreszcie. — Byłoby najlepiej, gdyby wyjechał do Londynu.

— Cóż cię zaniepokoiło?

— Powiem panu szczerze: przewiduję nowe nieszczęście... Po co tamten ukrywa się na bagnie?... To nie zapowiada nic dobrego dla Baskervillów. Chciałbym już, żeby nowa służba zwolniła mnie z dozoru nad pałacem.

— Czy mógłbyś mi co powiedzieć o tym nieznajomym? Co o nim myśli Seldon? Czy odnalazł jego kryjówkę? Czy dowiedział się co on tu robi?

— Widział go parę razy, ale tamten jest skryty. W pierwszej chwili mój szwagier miał go za szpiega, ale niebawem przekonał się, że to gentleman i że działa na własną rękę w jakimś celu tajemniczym.

— Czy Seldon nie odszukał jego kryjówki?

— Wie, że nieznajomy chowa się w jednej z jaskiń na stoku góry, tam, gdzie to mieszkali dawni ludzie.

— A skąd dostaje żywność?

— Seldon wypatrzył, że jakiś chłopak zaopatruje go we wszystko. Ten chłopak chodzi do Coombe-Tracey.

— Dobrze, Barrymore. Pogadamy jeszcze o tem.

Po odejściu kamerdynera, zbliżyłem się do okna i spojrzałem na ciemną łąkę. Noc była chłodna, wietrzna. Jakież pobudki mogły skłonić człowieka do ukrywania się na bagnie o takiej porze roku?... Tam, w tej jaskini jest klucz do tajemnicy. Przysięgam sobie, że muszę ją odkryć, i to w ciągu dwudziestu czterech godzin.

XI.

Nieznajomy, ukrywający się w jaskini.

Wyjątek z dziennika, stanowiący ostatni rozdział opowiadania, doprowadził mnie do 18-go października, to jest do dnia, w którym te dziwne wypadki zaczęły się rozplątywać. Fakty następnych dni pozostały tak żywo w mojej pamięci, że mogę je opowiedzieć bez zaglądania do notatek.

Zaczynam więc od dnia, następującego po tym, w którym wykryłem dwa bardzo ważne fakty: a więc naprzód, że pani Laura Lyons z Coombe-Tracey pisała do sir Karola Baskerville i wyznaczyła mu spotkanie o godzinie, w której śmierć znalazł; powtóre, że człowiek, przebywający na bagnie, ukrywa się w jednej z jaskiń na stoku góry.

Znając te dwa fakty, miałem w ręku oręż, który mógł mi pomódz do wyjaśnienia tej krwawej zagadki.

Nie mogłem podzielić się zdobytemi wiadomościami z baronetem, albowiem doktor Mortimer pozostał do późnej nocy. Nazajutrz jednak przy śniadaniu opowiedziałem sir Karolowi te okoliczności i spytałem, czy chce mi towarzyszyć do Coombe-Tracey.

W pierwszej chwili miał ochotę jechać, ale po namyśle uznaliśmy obaj, że będzie lepiej,

abym wyruszył sam na tę wyprawę. Należało odjąć wizycie wszelki charakter uroczysty. Zostawiłem więc sir Henryka w domu i pojechałem na zwiady.

Łatwo mi przyszło dowiedzieć się o adresie mrs. Lyons. Mieszkała w dobrym punkcie, w środku miasta. Zostałem odrazu wprowadzony przez schludną pokojówkę do bawialni. Pani Lyons siedziała przy maszynie Remingtona; zerwała się na moje powitanie, lecz ujrzawszy nieznajomego, zmieszała się i spytała, czego sobie życzę.

Na pierwszy rzut oka, mrs. Lyons robiła wrażenie osoby niezwykle pięknej: miała oczy i włosy złocisto brunatne, cerę świeżą, usta ponsowe. Byłem zachwycony jej urodą, lecz przyjrzawszy się bliżej, dostrzegłem ostry wyraz ust i oczu, psujący ogólną harmonię. Bądź co bądź, znajdowałem się wobec kobiety ślicznej, i teraz dopiero uczułem, że moje zadanie jest trudne. Cóż mogłem jej odpowiedzieć?

— Znam ojca pani — rzekłem, tłómacząc tem moje przybycie.

— Niema nic wspólnego pomiędzy mną a ojcem — odparła chłodno. — Nie zawdzięczam mu nic zgoła i jego znajomi nie są moimi. Gdyby nie sir Karol Baskerville i paru innych przyjaciół, umarłabym z głodu, choć mam ojca...

— Właśnie przybywam do pani w sprawie nieboszczyka sir Karola — oświadczyłem.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Cóż mogę panu o nim powiedzieć? — rzekła, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

— Wszak go pani znała?

— Mówiłam już panu, że wiele mu zawdzięczam. Jeżeli mogę pracować na swoje utrzymanie, to głównie dzięki jego dobroci dla mnie.

— Czy pani z nim korespondowała?

Dziwny błysk zapalił się w jej oczach.

— Dlaczego mnie pan pyta? — rzekła ostro.

— Aby pani oszczędzić publicznego skandalu. Lepiej, że ja dowiem się prawdy, niż żeby została ujawniona wobec świata...

Milczała długo; wreszcie spojrzała na mnie z tłumionym gniewem.

— Dobrze, odpowiem — rzekła. — O co panu chodzi?

— Czy pani korespondowała z sir Karolem? — ponowiłem moje pytanie.

— Naturalnie, pisywałam do niego, aby mu podziękować za jego delikatność i wspaniałomyślność.

— Czy pani zapamiętała daty swoich listów?

— Nie.

— Czy pani widywała sir Karola?

— Tak, parę razy, gdy przyjeżdżał do Coombe-Tracy. Żył w osamotnieniu. Lubił świadczyć dobrodziejstwa z ukrycia...

— Jeżeli widywał panią tak rzadko i otrzymywał od pani nieczęste listy, skądże mógł być do tego stopnia poinformowany o jej interesach, aby przychodzić jej z pomocą, jak to pani sama zeznała?

Odrzekła mi na to bez namysłu:

— Kilku sąsiadów znało moje smutne dzieje; złączyli się, aby mi przyjść z pomocą; między innymi pan Stapleton, przyjaciel sir Karola, był dla mnie bardzo dobry. Przez niego baronet poznał moje przykre położenie.

Wiedziałam istotnie, że sir Karol uczynił Stapletona swoim jałmużnikiem, więc uwierzyłam tym słowom.

— Czy pani kiedy pisała do sir Baskervilla, prosząc go o widzenie się na cztery oczy? — ciągnąłem dalej.

Pani Lyons poczerwieniała.

— Dziwne to pytanie... — rzekła, udając obrażoną.

— Przykro mi, ale muszę je powtórzyć.

— A więc — nie; nie wyznaczałam mu nigdy spotkań.

— Ani w dzień śmierci sir Karola?... — rzekłem z naciskiem.

Rumieniec znikł z jej twarzy, w jednej chwili zbladła śmiertelnie. Usta jej poruszyły się bezdźwięcznie, wyszeptała „nie“ tak cicho, że domyśliłem się raczej, niż usłyszałem to słowo.

— Zapewne pamięć zawodzi panią... — rzekłem — bo mógłbym nawet przytoczyć jeden ustęp z jej listu, a mianowicie: „Proszę i zaklinam, abyś pan ten list spalił i stawił się przy furtce o dziesiątej wieczorem“.

Była bliską omdlenia, zapanowała jednak nad sobą.

— Więc już nie ma w Anglji gentlemenów!... — szepnęła z goryczą.

— Pani krzywdzisz pamięć sir Karola — rzekłem. — On ten list spalił, ale można odczytać list nawet po spaleniu... Czy pani przyznaje się do tych słów?

— Tak, napisałam je! — zawołała nagle — napisałam. Nie potrzebuję się zapierać! Nie mam powodu wstydzić się. Chciałam prosić sir Karola o pomoc. Sądziłam, że mi jej udzieli po rozmowie na cztery oczy i dlatego prosiłam go, żeby stawił się u furtki.

— Ale czemu o takiej godzinie?...

— Bo dowiedziałam się właśnie, że wyjeżdża nazajutrz do Londynu i że jego nieobecność potrwa kilka miesięcy. Były powody, dla których nie mogłam przybyć tam wcześniej.

— Dlaczego wyznaczyłaś mu pani spotkanie w ogrodzie, nie zaś w pałacu?

— Czy pan sądzi że kobieta może bezkarnie odwiedzać mężczyznę bezżennego o takiej godzinie?

— I cóż się stało, gdyś pani przybyła do furtki?

— Nie stawiłam się wcale.

— Mrs. Lyons, trudno mi w to uwierzyć.

— Przysięgam panu na wszystko, co mi jest świętem i drogiem, że mówię prawdę. Nie pojechałam, bo mi coś przeszkodziło.

— Co takiego?

— To sprawa osobista, prywatna. Nie mogę powiedzieć.

— A zatem przyznaje pani, że wyznaczyła sir Karolowi spotkanie o godzinie i na miejscu, gdzie go znaleziono trupem; przeczy pani jednak, że stawiła się na miejscu umówionem...

— Mówię prawdę.

Zadałem jej jeszcze kilka pytań, chcąc ją skłonić do wyznań, ale nadaremnie.

— Mrs. Lyons, rzekłem wstając, bierze pani na siebie wielką odpowiedzialność i stawia się pani w trudnem położeniu. Jeżeli będę zmuszony wezwać pomocy policji, wtedy dopiero przekonasz się pani, jak dalece jesteś skompromitowaną. Gdybyś pani była niewinną, to w pierwszej chwili nie zaprzeczyłabyś, żeś pisała tego dnia do sir Karola.

— Zaprzeczyłam, w obawie, aby nie wyciągnięto z tego wniosków fałszywych i żeby nie być wplątaną w skandal.

— A dlaczego zależało pani tak bardzo na tem, aby sir Karol ów list spalił?

— Jeżeli pan go przeczytał, to musi pan wiedzieć dlaczego.

— Nie mówiłem, żem czytał cały list.

— Przytoczyłeś pan jeden ustęp dosłownie.

— Tak, dopisek. List, jak już raz nadmieniłem, został spalony i nie można go było odczytać. Raz jeszcze pytam panią: dla czego nalegałaś aby sir Karol spalił list, który otrzymał w dniu swojej śmierci?

— To sprawa czysto osobista.

— Tembardziej powinno pani chodzić o oszczędzenie publicznego śledztwa.

— A więc powiem panu. Słyszał pan zapewne o mojej smutnej historji i musi pan wiedzieć, że wyszłam za mąż zbyt pospiesznie i że miałam powód tego żałować.

— Słyszałem.

— Moje życie było szeregiem prześladowań ze strony męża, którego nienawidzę. Prawo jest po jego stronie. Lyons każdej chwili może zażądać abym z nim żyła. Przed napisaniem owego listu do sir Karola, dowiedziałam się właśnie, że jest sposób odzyskania wolności, lecz że to wymaga znacznych kosztów. Byłoby to dla mnie spokojem, szczęściem, wszystkiem na świecie. Znałam hojność sir Karola i sądziłam, że gdy usłyszy te smutne dzieje z moich własnych ust, dopomoże mi niewątpliwie.

— Więc dlaczego pani nie poszła na miejsce umówione?

— Bo otrzymałem pomoc z innego źródła.

— Czemuż więc nie uprzedziłaś pani o tem sir Karola?

— Byłabym to uczyniła, gdybym nazajutrz nie wyczytała w dziennikach wiadomości o jego śmierci.

Słowa pani Lyons były dość logicznie powiązane, nie mogłem jej złapać na sprzeczności. Pozostawało tylko sprawdzić, czy istotnie w owym czasie przedsięwzięła kroki rozwodowe.

Wierzyłem, iż tej nocy nie była w Baskerville-Hall, bo widzianoby konie i wehikuł przy furtce; taka wycieczka nie utrzymałaby się w tajemnicy. Mrs. Lyons mówiła więc prawdę, lub część prawdy.

Wyszedłem zniechęcony. Więc znowu rozbijałem się o mur, zagradzający dalszą drogę odkryć! A jednak, im bardziej przypominałem sobie każdy rys jej twarzy i każde słowo, tem pewniejszy byłem, że nie powiedziała mi wszystkiego.

Bo i czemuż zbladła w pierwszej chwili? Czemu nie od razu przyznała się do listu?... Niewątpliwie była winniejszą niż się przedstawiała.

Musiałem tymczasowo poprzestać na jej informacjach i zwrócić się po dalsze w inną stronę, ku jaskiniom naszych przedhistorycznych przodków.

Ale niełatwo było odnaleźć nieznajomego na podstawie ogólnikowej wskazówki. Barrymore powiedział mi, że nieznajomy ukrywa się w jednej z jaskiń, ale takich jaskiń było mnóstwo na każdym kroku. Pamiętałem jednak skałę, na której ukazała mi się postać w blasku księżyca. Ta skała, Black-Tor (Czarne Wrota) miała mi służyć za drogowskaz. Od niej miałem zacząć poszukiwania. Obiecywałem sobie, że znajdę nieznajomego i że musi mi wyznać, dlaczego tu przebywa. Łatwiej mu było umknąć na Regent-Street, niż na tej otwartej równinie. Wyśliznął się pomiędzy palcami wielkiego Holmesa. Jakiż byłby dla mnie tryumf, gdybym go zdołał schwytać!

Dotychczas w mojem śledzwie nie dopisywało mi szczęście — teraz uśmiechnęło się do mnie. Zwiastunem dobrej wieści był pan Frankland.

Stał właśnie przy furtce swego ogrodu, wznoszącego się przy gościńcu.

— Dzień dobry, doktorze Watson! — zagadnął mnie w chwili, gdym przejeżdżał mimo jego siedziby. — Daj koniom odpocząć, a sam zechciej wstąpić do mnie na kieliszek wina.

Nie żywiłem dla niego uczuć przyjaznych po tem com słyszał o jego postępowaniu z córką, ale chciałem jaknajprędzej odprawić grooma Perkinsa z wehikułem i końmi. Korzystając więc ze sposobności, wysiadłem i kazałem powiedzieć sir Henrykowi, że wrócę dopiero na obiad i że przyjdę pieszo.

Wszedłem do domu Franklanda.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku